Tom III. 11. Czerwca 1871. Nr. 17.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

JÓZEF ŁĄCZYŃSKI
wojownik polski.

Polska, ojczyzna nasza, słusznie nazywała się wielką, bo miała mężów tak wielkiego serca, czynów i nieustraszonego ducha, że ich po wszystkie czasy wielkimi nazywać musimy.

Do takich mężów należy i Józef Łączyński, który lubo nie zjednał sobie rozgłośnej sławy, ale wielkiemi odznaczył się dziełami, dla tego słusznie możemy go policzyć do wielkich wojowników polskich. Gdy się wykształcił w naukach, uczuł w młodzieńczym już wieku pociąg do wojennych trudów, i wstąpił do służby wojskowej zagranicznej, a potem służył w regimencie piechoty Władysława IV. króla polskiego, starszego syna Zygmunta III. Zygmunt III. nie chciał się pozbyć tronu szwedzkiego, wplątał przeto Polskę w długie wojny. Po jego śmierci wstąpił na tron [1632 roku] Władysław IV., król waleczny i śmiały, wyćwiczony na wojnach moskiewskich i tureckich. Jemu tedy przypadło zrobić porządek z zuchwałymi najezdzcami. Skropił co się zowie Turków i Moskali i wiele ziem przyłączył do Polski.

Inaczej jednak było z niesnaskami wewnątrz kraju, bo ich nie mógł uspokoić, a nadto otworzyła się trudniejsza sprawa

z Kozakami. Panowie polscy, mieszkający na Ukrainie, nie zważając na przywileje Kozaków, chcieli ich przemienić w chłopów i zmusić do odrabiania pańszczyzny. Stąd powstał bunt między nimi, który trzeba było przytłumić i wysłać wojsko.

Józef Łączyński, który się wiernością i męztwem odznaczał, został wkrótce pułkownikiem. Król Władysław IV. ceniąc jego zdolności wojownicze, posłał go pod zamek Kudakowski, obronną i mocną twierdzę, ażeby go zdobył. Łączyński przyjął to dzieło z ochoczem sercem i w krótkim czasie, z podziwieniem całego wojska a niebezpieczeństwem własnego życia nie tylko że odbił twierdzę, ale nadto załogę w niej zmusił do sromotnej ucieczki. Nie poprzestał jednak na tem dzielny wojownik. Puścił się za nieprzyjacielem w otwarte pola, nachodził go, jak piszą, w niedostępnych nawet okopach, zwyciężał odważnie i mimo spodziewania skłonił do poddaństwa ojczyźnie i wierności królowi polskiemu.

Z tego powodu powstała między Kozakami ogromna nienawiść na Łączyńskiego. Z szczególną uwagą czatowali na sposobność, by go pojmać żywcem. Nieszczęście chciało, że ta straszna chwila nastąpiła. Kozacy obskoczyli Łączyńskiego. On jednak nadludzkiej nabrawszy odwagi, tak się dzielnie bronił, że kilkudziesięciu Kozaków trupem położył i dopiero śmiertelnym ciosem w rękę ugodzony, omdlał i pojmany został.

Tak świetnem zwycięztwem upojeni Kozacy, poczęli skakać z radości i wołać dzikiemi głosy:

— Pruć go na najmniejsze żyłki! — krzyczeli jedni.

— Porąbać na kawałeczki! — wrzeszczeli drudzy w wielkiej zajadłości.

Zaledwie zdołała starszyzna uśmierzyć okrutną wrzawę rozhukanych żołdaków, i wytłómaczyć im, że tak wielkiemu a bezbronnemu wojownikowi nie należy zadawać takiej śmierci, lecz w ścisłej trzymać go niewoli.

I znowu odgłos rozniósł radośne okrzyki.

Łączyńskiemu jakby z ludzkości zaopatrzono srogą ranę, a potem do ciężkiej odesłano go niewoli. Przykro było dzielnemu wojownikowi, że nie mógł dalej uginać kozackich karków przed wojskiem, którego był dowódzcą.

O niewoli Łączyńskiego wnet dowiedział się król Władysław IV. Żal mu się zrobiło odważnego żołnierza, a więc poleca hetmanowi, by w jaki sposób wydobył Łączyńskiego. Obiecują znaczne sumy, chcą w zamian w niewoli polskiej będących Kozaków odstawić za Łączyńskiego, ale nadaremne wszystkie usiłowania, gniewny Kozak nie chce ani słyszeć o tem. Lecz Łączyński, mimo strzeżenia i czujnej straży, umknął z niewoli za wolą Opatrzności i nie wrócił do dóbr swoich, przez nieprzyjaciela do szczętu zniszczonych, lecz do obozu, gdzie go wojsko z najwyższą powitało radością.

I znowu rębał Kozaków, gdy pod dowództwem Bogdana Chmielnickiego, szlachcica polskiego wyznania greckiego, podnieśli bunt przeciw Polsce. A było to z tej przyczyny. Chmielnickiemu porwano żonę i zabito syna. Udawał się ze skargą do sądu, a nie mogąc doznać sprawiedliwości, pobudził Kozaków do nowego powstania, zapewniwszy sobie wprzód pomoc Tatarów.

I w tej ciężkiej potrzebie poświęcał się Łączyński. Wypadło mu uderzać na Tatarów, których tłukł co do nogi; gdzieindziej zaś zabierał im zdobycz i pewną gotował im zgubę na każdem stanowisku. Takiemi czynami przestraszeni Tatarzy, lękali się każdego z nim spotkania, a objaśnieni nadto przez Kozaków, byli tej myśli, że dla Łączyńskiego nie ma śmierci.

Owoż czyhali na sposobność, by Łączyńskiego pochwycić w swoje szpony i wedle pomysłu pogańskiego dzielić się kroplami krwi i kawałkami jego ciała, rozumiejąc, że przez to nabędą większej odwagi i męztwa, a w boju szczęścia i powodzenia.

Do tego atoli nie przyszło, owszem chwała dla narodu polskiego, bo Tatarzy zostali pobici. I zaledwie z nimi był koniec, już z Moskalami i innymi, na zgubę ojczyzny sprzysiężonymi nieprzyjacielami trzeba było wojować. I teraz Łączyński był postrachem dla nieprzyjaciół, albowiem tłukł ich na każdem miejscu, aż wreszcie w przygodzie jednej, obskoczony ze wszystkich stron mnóstwem nieprzyjacieli dostał się powtórnie do niewoli.

Król Władysław IV. wówczas już nie żył. Panował brat jego Jan Kazimierz. W Polsce smutne były wtedy czasy, bo nieprzyjaciel wiele narobił szkody.

Gdy się król Jan Kazimierz o niewoli Łączyńskiego dowiedział, zasmucił się bardzo wraz z całem wojskiem, które go nadzwyczajnie kochało i poważało. Zwątpiono już o jego powrocie.

Po latach kilku wrócił przecie Łączyński szczęśliwie do ojczystej ziemi i przybył do dóbr swoich Kutkorza, gdzie tak dawno już nie był.

Król Jan Kązimierz, za jego poświęcenie życia i mienia na usługi dla ojczyzny, zrobił go jenerałem majorem piechoty [1665 roku], i nadał mu na to przywilej, w którym wysoko pochwalił jego zasługi i waleczność. W krótkim znowu czasie nadał mu król pewne królewszczyzny, a nawet i dobra do starostwa buskiego należące, z osobnemi przywilejami na wynagrodzenie szkód, jakie mu wrogowie w dobrach jego uczynili. Niebawem zaś nadał mu starostwo buskie, pisząc do niego list własnoręcznie w obozie pod Łęczycą dnia 15. października 1665 roku.

Łączyński był rzeczywiście godnym tych łask królewskich, albowiem zasłaniał ojczyznę nie tylko piersiami przed najazdem wrogów, ale służył jej także radą. Bywał bowiem nieraz posłem na sejmach, na które wysyłało go całe wojsko i województwa ruskie.

Po złożeniu korony przez Króla Jana Kazimierza obrano królem polskim Michała Korybuta Wiśniowieckiego, syna księcia Wiśniowieckiego, potomka Korybuta, pierwszego brata króla Jagiełły. I za jego czasów wsławił się Łączyński w wojnie z Turkami, którzy zabrali Ukrainę, Podole z miastem Kamieńcem i aż pod Lwów się posuwali. Podole długi czas zostawało w ich rękach.

Po krótkiem, bo tylko czteroletniem panowaniu Michała Korybuta, oddano koronę Janowi III. Sobieskiemu Łączyński wraz z województwem ruskiem podpisał jego wybór, a kiedy król ten z Turkami na nowo rozpoczął wojnę, Łączyński znowu poszedł

do obozu i ucierał się z nieprzyjacielem. W bitwie pod Chocimem odznaczył się zaszczytnie.

Nasze wojska często się zmieniały, by uderzać na obóz turecki. Kiedy raz przyszło nacierać na wroga Łączyńskiemu, tak szczęśliwą zrobił zasadzkę, że Turcy uciekli z wałów. Gromił ich tedy potężnie, lecz gdy przemocy tureckiej wytrzymać nie mógł, posłał natychmiast do króla i hetmana, by mu co prędzej na ratunek spieszyli.

Właśnie wtenczas słuchał król mszy świętej pod namiotem, gdy mu dano znać o przybyciu posłów.

— Miłościwy królu i panie! — mówiono — spiesz na ratunek, bo jenerał Łączyński w strasznym zostaje ogniu!

Król jednak, ufając jego męztwu i waleczności, tak odpowiedział:

— Mam nadzieję w Bogu, że mu się nic nie stanie!

I nie posłał mu pierwej posiłków, aż wysłuchał mszy św., bo był bardzo gorliwym katolikiem. Po wysłuchaniu mszy świętej posyła mu dopiero posiłki i sam rusza za niemi w pomoc. Uderzyli z całą siłą na Turków i tak ich zbili, że tylko niewielka garstka z pod Chocima uciekła. Łączyński niezrównaną swą dzielnością przyczynił się do tak świetnego zwycięztwa króla Jana III., za co tak był cenionym od niego, że gdy w dziedzicznych dobrach swoich Kutkorzu osiadł, wielki monarcha, oswobodziciel chrześcijaństwa, często go zaszczycał swoją bytnością i największych pochwał nie szczędził. Łączyński atoli nie był z tego dumnym lub zarozumiałym, nigdy się nie wynosił; zachowywał powagę ze skromnością, uległość z poczciwością.

Chciał mu król Jan III w dowód czci i uznania ofiarować kasztelaniję lwowską, potem kasztelaniję województwa bełzkiego, ale Łączyński podziękował za te godności i zaszczyty, mówiąc:

— W wojsku mógłem najlepiej służyć mojej ojczyźnie, zostanę w niem do mojej śmierci, bo mi z tem najlepiej. Wolę resztki sił starganych nieść jeszcze na usługi drogiej ojczyźnie, niż w wygodach dla mnie zbytecznych wyczekiwać śmierci!

Otóż to był wojownik, którego wielkim nazywać można bez obawy. Za tyle zasług nie pragnął zaszczytów bo dobro ojczyzny przenosił nad najpiękniejsze dla siebie widoki. W późnym wieku zakończył chwalebny żywot w Bieńkowej Wiszni, wsi w dziedzicznych dobrach swoich, a ciało jego spoczywa w Rudkach. Pozostawił po sobie tylko jednego syna Andrzeja, także znakomitego wojownika, wielkiego mowcę, senatora, o którym powiedział jeden uczony polski, że najpierwsze krzesła w senacie o niego ubiegać by się powinny.

Takich mężów miała dawna Polska!

Józef z Bochni.

Jak Kuba wyszedł na lenistwie?

Co się stało z jednym chłopkiem,
Posłuchajcie, moi mili!
W pewnym dworze był parobkiem,
Lecz nieszczęsnej jednej chwili
Coś do głowy mu strzeliło,
By się we świat puścić marnie,
Bo tak w uszach mu dzwoniło:
— Na co w służbie mieć męczarnie,
Znosić trudy, niewygody?
Żyj na lekkim lepiej chlebie;
Wszakżeś jeszcze zdrów i młody,
To nie możesz być w potrzebie...
Jesteś sobie zuchowaty —
Toż dla dziewcząt stąd ponęta,
Bądź gdzie przyjmą cię do chaty
I okują jakby w pęta...
Głupi Kuba w to uwierzył,
Że żyć będzie już bez troski,
Toż i zrobił, jak zamierzył,
Poszedł we świat z owej wioski —
I leniuchów obyczajem
Gdzieś tam w mieście posługiwał,
Niby chodził gdzieś na najem,
Ale wszystko tylko zbywał,
A do szczęścia miał nadzieję,
Co je zdobyć miał w przyszłości.

Lecz do złego czart się śmieje,
To też biada, gdzie zagości.
Kuby stał się przyjacielem
I od pracy go odwodził:
Niby czoło mu pogodził,
Bo gdy Kuba grosz zgromadził,
Czart mu szeptał: Miły synku!
Idź na wódkę! — I prowadził
Niebacznego wnet do szynku,
Gd ie gdy wódki sporo zażył,
To w swobodzie się rozpływał
I o lepszych czasach marzył,
Świetnej doli się spodziewał.
Aż raz Kubę okradziono —
W takim razie co tu robić?
Trza do wioski wracać pono,
Gwałtem szczęścia trza się dobić.
Niechaj miasto porwie licho!
Jak tu wracać bez niczego?
Coś do ucha szepta cicho:
Trzeba tego i owego
Teraz tobie, mój kochany,
Byś wyglądał jakoś ładnie!
Trza i butów i sukmany;
Nie zaszkodzi, gdy kto kradnie...
Stłumił Kuba głos niebiański
I pomyślał o kradzieży;
Są koniki w stajni pańskiej —
Można zrobić, jak należy.
I wnet jakoś noc zapada,
Koło dworu wszędzie cicho;
Kuba zręcznie się zakrada,
Już pod stajnię gna go licho.
Patrzy — okno otworzone,
Nigdzie ani pies nie szczeka
— Bogu dzięki nieskończone,
Dobra pora dla człowieka!
Będą buty i sukmana,
Człek na nowo się odrodzi —
Wiosna kończy się kochana,
Lato miło już nadchodzi —
Będzie człowiek uważany
Czy to w karczmie, czy w kościele,

I od dziewcząt prędzej znany;
Przyjemności będzie wiele...
Wtem błysnęły Kubie oczy;
Za szarpnięciem jednem ręki —
Kuba okno wnet przeskoczy.
Lecz wnet straszne słychać jęki.
Biegnie nocna straż i sługi,
Patrzą — co się w stajni stało?
A tu Kuba tak jak długi,
Wzdłuż wyciągnął swoje ciało.
Nogę strasznie miał złamaną;
Powiązano go w powrozy —
Do szpitalu dano z raną,
Potem dostał się do kozy.
I przesiedział czas nie mały;
Dziś kaleka jest przykładem,
Że lenistwem doszedł chwały —
Bo jest dzisiaj nędznym dziadem.
I narzeka, bracia mili,
Że za marnym szedł zarobkiem,
I żałuje owej chwili,
Gdy szczęśliwym był parobkiem.

Oj nie marzcie w błędnych szałach
O kwiecistej jakiejś doli,
O niebieskich tam migdałach,
Lecz pracujcie z Bożej woli,
Skrzętnie, pilnie i uczciwie,
Bo to praca — szczęścia ścieszka,
A będziecie żyć szczęśliwie,
Bo gdzie ona, sam Bóg mieszka.
Z pracy pewna jest nagroda,
Ona darzy ludzi chlebem,
A z lenistwa pewna szkoda,
Ono szczęścia jest pogrzebem!

Józef z Bochni.

Tuja, albo Tojad mordownik.

Tuja, także napastnicą zwana, jestto roślina rosnąca dziko w górach karpackich, także też po ogrodach dla ozdoby chowana, i jako taka dostatecznie znana. Dla tych którzy by jej

nie znali podajemy rysunek. Wyrasta tuja łodygami prosto do góry z korzenia podobnego do rzodkwi. Liście tej rośliny są ząbczaste i głęboko wcięte, koloru ciemno-zielonego i są na zewnątrz odgięte Korona zaś nosi bukiety kwiateczków koloru zwykle granatowego (ciemno-niebieskiego), które tem bardziej są rzęsiste, im lepszą jest ziemia. W górach gdzie tuja dziko rośnie, kwiatki jej są nikłe i blado niebieskie, albo też różowe, a zawierają w sobie słodycz miodową, którą dzieci rade wysysają. Należy dzieci przestrzegać przed tem, albowiem sok ten słodki jako też i cała roślina posiada własności szkodliwe dla zdrowia ludzkiego.



Tuja.

Bydłu także szkodzi tuja, zawiera bowiem w sobie materję, która w większej ilości spożyta, działa otruwająco. Najniebezpieczniejszym jest korzeń; używają go leśnicy do trucia wilków a to w ten sposób: wysuszony korzeń tuji trą na proszek i posypują nim ścierwo padłego zwierzęcia jakiego, potem wywożą tę padlinę zatrutą w głąb lasu dla tracenia szkodników wilków.

ŻYCIE ŚWIĘTEJ MONIKI.

Kochane córki, mateczki i żony, posłuchajcie: opowiem wam o życiu świętej Moniki, która wam będzie najpiękniejszym przykładem w życiu!

Już będzie wnet 1570 lat temu, gdy Monika żyła w Afryce tej części ziemi, gdzie ogromne panują gorąca. Miała ona ro-

dziców dobrze się mających, i nadzwyczajnie dobrem była obdarzona sercem. Małą będąc dziewczynką, chodziła często po wino do piwnicy, bo ją rodzice posyłali. Uległa jednak pokusie i za każdym razem napijała się wina. Obaczyła to służąca, która z nią chodziła do piwnicy i powiedziała:

— Panienka jest pijaczką!

Te słowa tak przejęły młodocianą dziewczynkę, że pełna wstydu zaprzestała picia wina, jakby przeczuwając, że złe mogłoby się w większych rozwinąć rozmiarach. Daj Boże, żeby każdy człowiek usłuchał tak dobrego napomnienia i wystrzegał się swoich błędów.

Święta Monika miała rodziców w pogańskiej wierze zostających, sama zaś najmilej przebywała między wyznawcami zasad Jezusa Chrystusa i przyszło do tego, że została chrześcijanką. Nie pogardzała jednak rodzicami swemi, nie wytykała im błędów, ale bolała bardzo, że nie chcą uznać światła i nauki Boskiej. Była dla nich ugrzecznioną i posłuszną, jak każdemu dobremu przysłuża dziecku, a nawet, gdy nakazali, poszła za mąż za Patrycyjusza, poganina i niedowiarka, a nadto bardzo gniewliwego i gwałtownego człowieka. Cieszyła się w duszy, że go będzie mogła poskromić swojem postępowaniem i pozyskać jedną duszę więcej dla króla nieba i ziemi. Największe wybuchy jego gniewu znosiła z niezwykłą cierpliwością, i tak umiała się obchodzić, iż nigdy nie przyszło do sprzeczek i nienawiści między nimi. Żyła w nadziei, że nadejdzie chwila szczęśliwa i mąż jej innego nabierze przekonania. Gdy się złościł i w niesfornej popędliwości swojej krzyczał w domu, Monika nic mu na to nie odpowiadała, jeno zbywała milczeniem i uległością. A gdy się uspokoił, przekonywała go, że nie miał powodu do gniewu.

— Moja Moniko! mówiły do niej nie raz znajome kobiety - my już z mężami swojemi wytrzymać nie możemy. Już za nadto tych prześladowań; patrz, ile mamy znaków, któremi obrazili nasze ciało!

— Moje kochane! — odpowie Monika — na cóż macie się im stawiać i złością skłaniać ich do innego obchodzenia się z wami? Lepiej poskramiać ich łagodnością swoją, bo i dzi-

kiego zwierza i jadowitego węża można ułagodzić — a czyżby człowieka dobrem postępowaniem nie było można podbić i zniewolić ku sobie? Opanuje was chęć kłótni, zaniechajcie jej, a milczeniem cudów dokażecie!

I przekonały się o tem te kobiety, które usłuchały szczerych rad św. Moniki.

Patrycyjusz miał przy sobie matkę. Monika tak umiała sobie podbić jej serce sprawami swemi, że nikt nie śmiał na nią ani jednej zrobić plotki. Sługi siliły się na to, by Monikę oczernić w jej oczach i znienawidzić ku sobie, ale tego dokazać nie mogły w żaden sposób. Matka gniewała się z tego powodu i mówiła do syna:

— Ukarz złe służebnice, które się targną na dobrą sławę twojej żony. Jest ona aniołem cierpliwości, zgody i miłości.

I stało się podług jej życzenia, a w domu ich panował pokój święty, zgoda i swoboda, bo złe języki ponosiły zasłużoną karę.

Jakże to inaczej bywa w domach naszych! Synowe kłócą się z matkami mężów, którym nie ustępują także w niczem, ale krzykiem i hałasem, przekleństwem i złośliwością zaprowadzają w domu prawdziwe piekło. A jakżeż znowu często świekry plotkami i podejrzliwością rozdwajają synowe z ich mężami i zamiast odpierać plotki, chętnie je wysłuchują i przez to niweczą miłość w rodzinie, w której raj panować powinien.

Monika była uległą żoną i synową, to też nie dziw, że Patrycyjusz, poganin, dał się jej potem powodować i został wzorowym chrześcijaninem. Każda żona może poskromić swego męża dobrocią serca i łagodnością, ale nie kłótnią i dokuczaniem.

Monika jak była przykładem zgody dla sąsiadów, tak znowu dla bogaczów była przykładem szczodrobliwości. Wspierała ubogich, utwierdzała ich w wierze i na prostą sprowadzała drogę. Codziennie chodziła na mszę świętą, a potem zajmowała się troskliwie domem, żeby wszystko w największym było porządku i regularności. Obdarzył ją Bóg dwoma synami i córką. Wiedząc, iż po obowiązkach żony i gospodyni najważniejszem zajęciem matki jest dobre wychowanie dzieci, zajmowała się ich kształceniem i starała się nadzwyczajnie, by

w nich utrwalać cnoty i zachęcała je do dobrego i pobożnego życia. Wtem umiera jej mąż, a ona zostaje wdową. Oddaje się tedy z całem poświęceniem matki wychowaniu swych dzieci lecz rani się jej serce, bo syn jej Augustyn puszcza się na złą drogę i odstępuje od nauki Jezusa Chrystusa.

Ależ posłuchajcie, miłe matki, jak sobie Monika postępowała z zabłąkanym synem! Błagała ona Boga we dnie i w nocy, by odmienił umysł Augustyna i odmienił jego nieprzykładne życie. Syn brnął dalej w występkach i przewrotności, nareszcie chcąc się wyćwiczyć w fałszywych naukach, jakie rozsiewali źli ludzie, pojechał do Rzymu, bo tam wówczas wielu było nauczycieli, którzy odwodzili ludzi od prawdziwego kościoła Bożego. Wiadomość taka zakrwawiła boleścią serce Moniki, lecz wytrwała w miłości macierzyńskiej, udaje się za synem do Rzymu i nie zraża się ani żeglugą morską, ani niebezpieczeństwami w drodze po ziemi. W myśli jej tylko zbawienie duszy swego kochanego syna. Pyta się wszędzie o niego, lecz nigdzie dowiedzieć się nie może. Utula się wreszcie w swym żalu i ufa niebu, że syn jej nie zginie. Bóg pokrzepia snem pobożną i wzorową matkę. Miała wtenczas widzenie. Zdało się jej, że stoi na prostej drodze przejęta smutkiem. Przychodzi do niej jaśniejący młodzian i pyta:

— Dlaczego się tak smucisz, dobra niewiasto?

— Martwię się o syna mojego — odpowiada Monika — bo zeszedł z prawej drogi, a udał się na drogę błędu i zepsucia.

— Nie troszcz się, poczciwa matko! — mówi młodzian — twój syn stać będzie na tej drodze, na której ty stoisz, bo twój piękny przykład, twoje łzy i modlitwy nie pozwolą mu być dłużej na innej drodze.

Ogląda się Monika i spostrzega syna swojego na tej samej drodze, na której stała sama. Modli się tedy wzruszona do Boga i dziękuje mu pokornie za jego łaskę.

Widzenie to sprawdziło się rzeczywiście. Dowiedziawszy się, że syn jej bawi w Medyjolanie, mieście we Włoszech, jedzie za nim i przekonywuje się z największą pociechą serca, iż syn jej na prawej postępuje drodze. Był tam wówczas święty Ambroży, arcybiskup, i pobożny kapłan Symplicyjan. Ci pou

czali ludzi o prawdach wiary Chrystusowej, a zbijali błędy i fałsze innych nauk. Augustyn tak się przejął ich zasadami, że się kazał ochrzcić i został potem najżarliwszym obrońcą nauk kościoła prawdziwego, najgorliwszym pogromcą odszczepieństwa.

Wstąpił do klasztoru, a gdy wracał do ojczyzny swojej Afryki, jechała z nim matka, lecz w drodze zakończyła doczesne życie, mając lat 56.

Syn jej modlitwą, staraniem i przykładem nawrócony odprawił nad jej grobem mszę świętą, prosząc Boga o przyjęcie matki do chwały wiekuistej.

Uznano ją potem za świętą, a syn jej także świętym zostawszy, był najprzykładniejszym kapłanem i biskupem, chlubą kościoła naszego.

Uroczystość św. Moniki obchodzi kościół 4. maja.

Józef z Bochni.

Wystawa rolniczo-przemysłowa w Rzeszowie.

Wiadomo wam zapewne, że w kraju naszym istnieją dwa towarzystwa rolnicze jedno we Lwowie a drugie w Krakowie. Oba te towarzystwa do których każdy co się interesuje gospodarstwem może należyć, starają żeby i u nas jak n. p w Niemczech i we Francyi ludzie coraz lepiej uprawiali rolę, lepsze trzymali bydło, a tem samem i większe jak dotąd mieli dochody. Ludzi co raz to więcej mnoży się na ziemi — to też i koło roli coraz lepsze trzeba mieć staranie, aby wszystkich mogła wyżywić i odziać.

Aby zachęcić do lepszej pilności w uprawianiu pola i do staranniejszego chodowania bydła urządzają oba nasze towarzystwa lwowskie i krakowskie od czasu do czasu wystawy, na które każdy wysłać może czy to zboże, czy bydło czy też narzędzia gospodarcze. Rozumie się, że nikt nie wyszle na taką wystawę lada co n. p. pszenicę zrośniętą, albo jakiego konia ślepego i kulawego, bo by go wszyscy wyśmiali; przeciwnie każdy posyła co ma najlepszego, aby się przed drugiemi popisać. Między temi wszystkiemi wystawionemi rzeczami nazna-

czała dopiero komisja co najlepsze i dawała za to nagrody. Niejeden widząc jak jego sąsiad dostał kilkadziesiąt złr. w nagrodę za wychowanie ładnej krówki albo za dorodną pszenicę pomyślał sobie: „Będę i ja lepiej chodził koło gospodarstwa to może na drugiej wystawie także dostanę nagrodę.“

Widzicie więc jak to wystawy także zachęcają ludzi do pracowitości i pilności. W roku zeszłym była wystawa taka w Przemyślu, przed dwoma laty w Horodence na Podolu, na obu tych wystawach było także wiele bydła i zboża włościańskiego a niektórzy włościanie otrzymali nawet nagrody za wystawionę przedmioty. Obecna wystawa w Rzeszowie która się rozpocznie 2. lipca a skończy 5. będzie wystawą targową, tj. przedmioty przysłane na wystawę, powinny być przeznaczone na sprzedaż. Gdyby jednak kto nie życzył sobie sprzedać nadesłany na wystawę przedmiot powinien to donieść do komisji wystawowej.

Na wystawę przyjmowane będą: 1) konie, 2) bydło rogate, 3) Jałowniki i cielęta, 4) woły tuczne, 5) owce, 6) świnie, 7) drób wszelki, 8) maszyny, narzędzia i sprzęty dla gospodarstwa rolnego, lasowego, ogrodowego i domowego przydatne, tudzież potrzeby i przyrządy myśliwstwa, 9) płody rolnictwa i rolniczego przemysłu, 10) zbiory naukowe i pojedyncze okazy przedmiotów z gospodarstwem wiejskim mające styczność, 11) modele, wzory i dzieła gospodarskie.

Wszystkie przedmioty które mają być przesłane, należy najpierw zapowiedzieć listownie u pana **Alojzego Rybickiego** w Rzeszowie.

Dnia 30. czerwca muszą już wszystkie przedmioty na wystawę przeznaczone być na miejscu w Rzeszowie.

Za stanowisko dla zwierząt, maszyn i narzędzi pobieraną będzie za cały czas wystawy następująca opłata:

Od konia, buhaja i wołu . . .	2 zł.	— ct.
„ krowy i jałówki	— „	50 „
„ cielęcia	— „	25 „
„ barana	— „	50 „
„ owcy	— „	25 „
„ świni	1 „	— „

Od każdej sztuki drobiu . . . — zł. 10 ct.
„ maszyn i narzędzi pod dachem . 2 „ — „ } za sążeń
„ „ „ „ gołem niebem . — „ 50 „ } □

Opłaty te dlatego są naznaczone, aby pokryć koszta jakie stąd wynikną, że cały plac przeznaczony na wystawę musi być oparkaniony i że dla niektórych delikatniejszych przedmiotów trzeba stawiać budy i namioty, aby się nie uszkodziły przez deszcz lub zbyteczny upał.

Z wystawą połączone będzie losowanie różnych przedmiotów gospodarskich np. zwierząt, maszyn i pomniejszych sprzętów które towarzystwo rolnicze na ten cel zakupiło, przedmioty te wystawione będą w osobnym budynku na widok publiczny.

Kiedy już wszystkie na wystawę przeznaczone przedmioty ustawione zostaną na placu wystawy, wyznaczać będzie komisja przez dwa dni, [31. Czerwca i 1. Lipca] nagrody dla odznaczających się wystawców. Dnia 2. Lipca otwartą zostanie wystawa dla zwiedzających i trwać będzie do 5. W tym dniu przed południem odbędzie się losowanie. Wystawcy będą mieli wolny wstęp na plac wystawy. Wreszcie przyrzeka komisya która się zajmuje urządzeniem wystawy, że się postara, by kolej żelazna zniżyła cenę jazdy, dla tych którzy jadą na wystawę.

Mamy nadzieję, że ci włościanie którzy mieszkają blisko Rzeszowa także swe zboże i swe bydełko wyszlą na wystawę, dla tego tak szeroko rozpisaliśmy się o tem.

Daj Boże żeby się wystawa jak najlepiej udała i żeby włościanie jak najwięcej nagród zabrali. Tego sobie serdecznie życzymy!

Rozmaitości.

Lekarstwo na kolkę u konia. Zdarzyło się raz iż koń zapadł mi mocno na kolkę; ponieważ nie było weterynarza pod ręką, musiałem sam radzić i przyszła mi myśl szczęśliwa, ażeby chorego konia zlać dobrze wodą, a następnie aż do sucha wycierać słomianemi wiechciami. Kazałem więc natychmiast wodą prosto ze studni zlewać mocno brzuch ko-

niowi pod włos, a zatem ku przodowi od tyłu. Po użyciu dwóch albo trzech wiader, zimno ogarnęło konia, który skutkiem tegoż począł drzeć na całem ciele. W ówczas kazałem dwom parobkom wziąść wiechcie z twardej słomy żytnej i wycierać przednie nogi, boki i brzuch zmoczony; po dziesięciu minutach tarcia skóra poczęła się mocno kurzyć a koń wyzdrowiał zupełnie; następnie poleciłem, aby go okryto derkami i pozostawiono w spokojności w stajni. Później trafiało się nieraz, mianowicie w przejażdżkach, że mi konie zapadały na kolkę, środek powyżej opisany zawsze je uzdrawiał, najpóźniej po kwadransie zlewania i tarcia; raz tylko z powodu że koniowi za mało wody wylano na brzuch, kolka nie ustała od razu i koń po wytarciu zaczął znowu głowę zwracać na bok, ale powtórzenie operacji zupełnie go uzdrowiło.

Środek ten ma zaletę, że nie kosztuje nic prawie, że skraca trwanie choroby i oszczędza konia; dlatego też polecam go wszystkim właścicielom koni, nie lubiącym znęcać się nad zwierzętami.

Złote ziarna.

Cokolwiek czynisz obmyśl dobrze wprzódy,
A potem działaj śmiało i roztropnie;
Abyś wśród działań niedoświadczył nudy,
Bo kto źle zaczął, ten zły koniec dopnie.
Nic nie pomoże twój potem obrońca,
Gdy zły początek, tem gorzej u końca;
I trudna sprawa dzisiaj jest ze światem,
Żyjmy poczciwie! a ja kończę na tem.

Życie gdy krótkie, trzebać dobrze użyć,
Bo przejdzie prędko tak jak każda chwilka;
A złego przykład, ten może posłużyć:
„Nosił wilk owce? ponieśli i wilka!“

Dla tego żyją drudzy, kto dla drugich żyje
Bo jak mówi przysłowie: ręka rękę myje.

Nie małość wzniesiona jest wielkością, ale sposób jej wyniesienia.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.